

Adolf Nowaczyński

## Do Zygmunta Nowakowskiego w Krakowie

Dear Master.  
Za „Dzwonek Niedzielny” z u-  
przejmą dedykacją serdecznie  
dziękuję. Wreszcie mogłem prze-  
czytać nowy zbiór Pańskich kapi-  
talnych humoresk, o których tyl-  
ko pochlebne nasłuchiwałem się  
w Krakowie, a których inaczej,  
jak w dorocznym pokłosiu zebranych,  
poznałbym nie mógł, gdyż  
na wzięcie do rąk pawet przez rękawiczki (tosiowe) pewnego ta-  
kiego jednego jedynego dziennika,  
zdobyć się nie mogę, aczkolwiek  
od dziesięciu przeszło lat całą  
prasę wraz ze syjonistyczną,  
komunistyczną (i brukową) wertować  
muszę i wertuję. Domyśla się  
Kochany Pan zapewne, o którym  
dzienniku jest i będzie jeszcze  
wielokrotnie mowa, dopóki i  
w Krakowie nie powtórzy się tra-  
gedia i „Upadek Domu Fryze”...

Również domyśla się Kochany  
Pan zapewne, ile mi sprawił ra-  
dości Pański „Dzielny Dzwonek”  
z takim ładunkiem wawy, mło-  
doci, impetu, poloty, iekkości,  
sarkazmu, z taką wielostronnością  
i różnorodnością zasięgu za-  
interesowań i z takim „nastawie-  
nieniem i podejściem” do oma-  
wianych „q u a e s t i o n e s  
q u a e p e n d e n t i”, jak ma-  
wiał Sfora intendent” (Siowacki).  
Ostatnie Pańskie feljtony-  
we pokłosie stoi sobie mocno na  
tym samym poziomie, na którym  
stały poprzednie „naręcza” (zbiór-  
ki) Pańskich kapitalnych i kapi-  
talnych kronik i gawęd. To u-  
trzymanie osiągniętego majster-  
skiego poziomu trzeba zapisać na  
plus, nie mniej jednak inni mogą  
to zapisać na minus, jeżeli do  
Pańskiej indywidualności pisar-  
skiej żywili pretensje górniesze  
i rozwojowi Pańskiego talentu  
stawiali bajkowe horoskopy.

Osobiście należę do tych in-  
nych. Będziemy ze sobą szcze-  
rzy? Prawda? Od konwencjonal-  
nych superlatywów i wyświechtanych  
duserów są, jak wiadomo,  
inni: recenzenci profesjonalni o-  
raz przyjaciele. Ja pozwalam so-  
bie potraktować evenement cał-  
kiem serio i znów jako problem.  
Ihni więc z altruizmu truiżmami  
i frazesami zbęda „nowy tomik”  
Nowakowskiego, wykręcając się  
„lanem z piwnice” (Rey). Mnie  
przypadło w udziale obowiązek  
piarskiego wynajdywanie plam  
na słońcach, kożuchów pod kwiat-  
ki, dziur na mostach i dziur  
na całym... Parnasie (harnasie)  
i Olimpie (Helikohnie). Tembar-  
dzież za sprawą musi być posta-  
wiona jasno i serio, skoro rzecz  
idzie o najpopularniejszego, jak  
to mówią „Benjaminka” mego ro-  
dzinnego miasta, w którym ja  
znany jestem już tylko z przegr-  
wanych procesów, jako Krakowa  
„wrog” zajadły i nieprzejednany.  
O najpopularniejszym zabierze  
tedy głos najniepopularniejszy...  
„nieznajomy daleki” o... fawory-  
cie, czyli, jak się tam u nas jesz-  
cze czasami po kątach gada:  
„Percinklu”.

Postawione więc musi być na  
początku samum zagadnienie na  
przyszłość djabło ważne, czy Ko-  
chanemu Panu przedewszystkiem  
wypada i godzi się być nadal  
członkiem polskiej Tammany-  
Hall, czy nie godzi? Od decyzji  
zasadniczej będzie zależał rozwój  
lub zanik Pańskiej pisarskiej in-  
dywidualności. Herr Kules raz  
musi stanąć na rozstajnych dro-  
gach: wóz lub przewóz i „ulat-  
wione życie”, albo walka, wojo-  
wanie, ciernie, głogi i... wa-  
wryzny (laury), albo liście bob-  
kowe (czy bobkowskie), rozgłos,  
lokalny, sława kiepurowa, dolary  
i szterlingi, a po kilku latach (pia-  
tiletka) haussy i hosanny, nagle  
szybkie otrzeźwienie, ocknienie,  
obudzenie, niesmak, degout, nu-  
da, pustka i przegrana... fallse-  
ment...

Otóż po przeczytaniu i tego o-

statniego doboru feljtonów, ży-  
czę Panu jak najpoważniej naty-  
chmiastowego wystąpienia z  
polskiej Tammany - Hall, zapako-  
wania Larów i Piernatów i prze-  
niesienia się do stolicy, jak się to  
u was miejscami jeszcze mówi:  
sakumpak... ciupasem. Radziłem  
to i swego czasu nalegałem z tem  
na Boya (ku własnemu utrapie-  
niu) i nie pożałował Boy, że  
adryady pięknie usłuchał. I na  
Kochanego Pana czas już najwyż-  
szy (höchste Zeit) (Austeigen!)  
kolego Nowakowski! „Tu już  
krzyknęli: dosyć, trzeba to raz  
skończyć, Bóg nas czy djabeł  
złączył, trzeba się rozłączyć”!  
Trzeba się tylko raz zdobyć na  
heroinę, czyli moment bohater-  
ski, a wszystko potem ułoży się  
wprost doskonale. Słynne powie-  
dzenie marszałka Cambrone’a...  
tymrazem czy „tą razą” (w  
Wielicze mówią: „tym razą”) będzie  
wyjątkowo (jak się mówi  
w Milówce): pasowało... rychtły  
pasowało. Nigdy nie należy cze-  
kać aż na tę fazę krytyczną,  
kiedy rozkochane miasto zaczyna  
o swoim ulubionym adwokacie  
czy tenorino powtarzać: ależ się  
szelma powtarza! A niechże go  
„dunder” świnię! Był obraz, ale  
obraz!... To już nie to, co tam-  
to!... podobno ma angina  
p e c t o r i s?... ano darmo!  
„bendzie” inny...

Warszawa czeka. Stolica  
przyjmie Pana otwartymi rękami  
i no... i... tego... i... pletwami (Syre-  
na). Warszawa duże miasto, dłu-  
żej w nim można popasać i popi-  
sywać. Ze także dziura? Owszem,

ale większa dziura, znacznie  
większa... Ze pół - Krakowa już  
się tu przeniosło i siedzi? O-  
wszem, są okupanci, są, ale już  
się znacznie zdegalicjanowali i  
opolaczyli, a w drugiej generacji  
niczem nie będą się odróżniali od  
podbitych i podpitych (z frasun-  
ku) autochtonów. Miejsce dla  
Pana przygotowane, lokal wynaj-  
miony, apartamenty wylufowane  
(jak się mówi w Bochni) podłoga  
wypucowana (Tarnów). Reming-  
ton, Lincoln, Studebaker, wszy-  
stko „fertig” w mieście „pod  
czapką Monomacha”.

Dlaczego radzę zmianę miejsca  
pobytu i podaży? Bo przeczyta-  
łem ostatni tomik skrupulatnie i  
po swojemu już tam w... wato-  
bie widzę nieco piasku, zamiast  
gryzienia zębami... gryzienie  
sercem (scherzo)... we wzroku  
początki daltonizmu i myopji, w  
powonieniu pewne osłabienie, w  
smaku, ongi tak dobrym i gry-  
maśnym jakoweś niewybredza-  
nie. Rosół dawniej był zawsze  
esencjonalny, a teraz dopiero  
m a g g i letniej wodzinie siły  
dodaje. W sztukamięsie dla go-  
ści zadużo gnatów i kości. Jak  
barszcz, to więcej rury i nie dwa  
grzyby, ale ani jednego. Do bli-  
nów kawior, ale cholerycznie na-  
dwiślański. No i codzień, dzień  
w dzień w niedzielę coś z wiedeń-  
skich sznyceli, a coś z galicyjskie-  
go rozbartla...

Ze smakiem tedy nicco go-  
rzej... Taki pogląd na Litwę i  
Litwinów (na Czechosłowację...  
na... Słowaków) to już nie jest w

dawnym dobrym guście. Brzmi  
djaгноza: osmoza, osmoza, czyli  
przenikanie, przesiąkanie środo-  
wiskiem atmosferą, kolorem i ko-  
losem lokalnym, tempem tajnych  
detektywów (i gangsterów), men-  
dalita mariana. „Z pałaców ster-  
czących dumnie zstap luby do  
naszej chatki!” Nie można poglę-  
biać swej indywidualności obu-  
jąc cieleśnie z gatunkiem:  
„flach” (Flach - man als Erzie-  
her). No i wogóle na codzień cała  
ta, jak mówią w Rzeszowie „ba-  
gaga” to nie może wpływać na  
„courage” (Jasło). Wcześniej  
czy później to się musi odbić na  
zdrowiu, szczęściu, pomyślności,  
gdz z jakim się wdajesz, takim  
się stajesz, niedaleko pada jabł-  
ko od jabłoni (na Psiej Górze), a  
kiedyś wszedł między wrony, to  
tak krakaj, jak i one (Krakaue-  
ry).

Zle towarzystwo dobija nawet  
najsilniejszych, a cóż dopiero  
organizacje delikatne, bo arty-  
styczne. Przecież Pan czytał,  
Panie Zygmuncie, co o tej grupie  
Tammanny - Hall mówili o-  
statnio panowie Prystor i Sla-  
wek i jak ich dyskwalifikację  
krakowskich... „Chicagowian”  
sympatycznie przyjęła cała pra-  
sa, cała opinia publiczna!

„Z pałaców sterczących dum-  
nie zstap Luby do naszej chat-  
ki!”. Czyż nie lepiej być asem  
choćby Czerwonego Teamu w  
stolicy, jak championkiem Żółtej  
prasy w Ciężkorypinie nawet  
podwawelskim?

„Z pałaców sterczących dum-

nie zstap Luby do naszej chatki”.  
Pora już się wyzwolić i wy-  
mancypować, strzepnąć pył i wy-  
„proch” (kurz) Krakwinkla ze  
sandałów, wypiąć cyferblat na  
„naszego Hearsta” (czyta się:  
„naszego Hearszta”) i rozbić namiot pod  
Zamkiem czy pod Belwederem.  
Niema innego ratunku przed  
trywializacją i wulgaryzacją i  
przed rozmięceniem indywidu-  
alności pisarskiej na „najdrob-  
niejsze drobne. Jeszcze jest  
czas ale już jest po trzech  
„kwadransach” (Jasło) na go-  
dzinę dwunastą.

Pyta Pan teraz oczywiście od  
czego zacząć n u o v a v i t a ?  
Odpowiedź chyba Pan się do-  
myśla. Od ekspiacji. Za tyle a  
tyle lat członkostwa w „Tamma-  
ny - Hall”, a tyle a tyle tomów  
wielkiej powieści właśnie o... kra-  
kowskiej Tammany - Hall. Tylko  
Pan jeden jest do tej powieści  
wprost predystynowany, desy-  
gnowany. Przeznaczenie, Los,  
D e s t i n y, Ananke, Mojra  
wskazują Panu ten jeden kieru-  
nek i drogę do wiekopomnego  
dzieła. Kraj, państwo, mocar-  
stwo domagają się i oczekują od  
Pana powieści o Krakowie pod  
berłem „Tammany - Hall”. Nikt  
z pisarzy nie będzie tak znał

kulisów i podziemi Krakowskiej  
Tammany - Hall i to od we-  
wnątr. Tylko Pan miał chyba  
wgląd w ten cały łańcuch afer i  
geszeftów, a to z gabinetem Pia-  
stowców, z Kohlenbaronami na  
G. Śląsku, ze Stoczną Gdańską,  
z Harrimanem, z Orbisem, z Ra-  
djem warszawskim, z zapalka-

mi. z pożyczkami, z kupecami  
wiedeńskimi, z rzeźnikami kra-  
kowskimi, z Krynicą, Rabką,  
Gdynią, z Expedycją Polarną, z  
Rumunami, z Węgrami, z Cze-  
chami z... Langsnerem, z... Feni-  
ksem... z willą w Cimiries... z Ta-  
trami... etc. etc. Wy tam w Kra-  
kowie dobrze i dokładnie zna-  
cie dzieje grzechu kasztelu na  
Psiej Górze. Opowiada się tam o  
tem z detalami półgłównie, do u-  
cha. wszędzie, ale jakoś niema  
żadnego szewczyka z Jamy Wa-  
welskiej, któryby się na Smoka  
targnąć odważył i dał mu worek  
z siarką do przelknienia, żeby  
Smok „się najadł i pękł”...

Takim workiem ze siarką mo-  
że być tylko powieść. Z Nowa-  
kowskiego, na którą będzie cze-  
kała cała omal bez d r u g i e-  
g o wyjątku uczciwa prasa pol-  
ska (z żargonową włącznie). Ta-  
ką powieść z entuzjazmem powi-  
tają obaj byli premierzy pp.  
Prystor i Sławek, którzy niedaw-  
no tak surowo potępili idący z  
pod Wawelu korupcjonizm.

Rzecz prosta, że taka powieść  
będzie z natury rzeczy więcej...  
kryminalistyczna, niż psycholo-  
giczna, ale na to już nie pora-  
dzić nie można, gdyż to jest  
związane z tematem, z ludźmi,  
z gangsterami i detektywami,  
których „żywyty swawolne” Zyg-  
munt Nowakowski nam plastycz-  
nie a sarkastycznie z właściwym  
sobie humorem i werwą w galerji  
„fotek” (m a d e i n C r a c -  
o v) niebawem odmaluje.

Można sobie już dziś wyobrazić  
z jaką niecierpliwością całą in-  
teligencja polska i Iwia część Elity  
sanacyjnej będzie oczekiwała  
prawdy o rozechwytywanej i jak  
dżuma przez muchy i koćmołuchy  
roznoszonej, ale ogólnem lekce-  
ważeniem, pogardą i odrzą „cie-  
szącej się” polskiej... „Tammany  
Hall”... Wszystkich bez wyjątku  
będzie interesowało, jak powstała  
ta Malepartia, jak doszło do ta-  
kiej hegemonji, bezkarności i  
bezcelności polskiej „Tammany  
Hall” napiętnowanej ostatnio  
przez pp. Sławka i Prystora.

Zygmunt Nowakowski, świętny  
sarkasta i ironista staje nadspo-  
dziewanie jako ten Herkulo na  
rozdrożu. Albo idąc drogą naj-  
mniejszego oporu (ulatwionego  
życia) skaże siebie dożywońnie  
na błądo błyszczącą karierę pa-  
rafialnego prymusa, primasa (cy-  
gańskiej orkiestry) prymadonna-  
ka, rodzaj Kiepyury pióra... I wte-  
dy pyszny i dumny będzie „se”  
promenował z pieskami po Plan-  
ciech odbierając setki ukłonów,  
rozdając setki uśmiechów na pra-  
wo i lewo i w bok... Albo zerwie  
się do czynu, do boju, do walki,  
do Warszawy i zerznie i zerznie  
tych, co na to od piętnastu lat  
zasłużyli. I wtedy dobrane się za-  
służy ojczyźnie i państwu i o-  
pinji publicznej i całej uczciwej  
prasie polskiej (z żargonową  
włącznie). Z Benjaminka Krako-  
wa dystansując Benjaminka War-  
szawy stanie się Benjaminkiem  
Polski.

Mam wrażenie i żywie nadzieję  
Panie Zygmuncie, że znużeni  
już sukcesami i wawryzmami  
(bobkami) zbyt łatwemi i przy-  
stępniemi zechcecie jednak sięgnąć  
po laur Olimpijski, po laur  
pogromcy Smoka. Tylko w ten  
sposób przejdziecie do potomno-  
ści.

Jeżeli zaś będzie chodziło o ty-  
tuł powieści... zdaje się już cze-  
rotomowej, no to w inwencji  
mocnego tytułu wszyscy Wam tu  
ochotnie pomożemy. Byłe już za-  
trzasnąć drzwi za sobą, potem  
wykapać się w gejzyrze albo w  
morzu lodowatym, a potem ocho-  
czo wziąć do pisania...

„Marsz! marsz Dąbrowski!”  
zdaje się dobry? A może „Pałac  
Pajaca”? „Cela nr. 13”?

A. Ruszkowski

## Gwiazda literatury o „Gwieździe Muz”

Ferdynand Goetel, to zamilowa-  
ny podróżnik. Ale prócz przygód  
w dalekich krajach, poszukuje  
czasem wrażeń, wypuszczając się  
w wieczornej porze „na miasto”  
i, niknąc w jednej z pięknie oświe-  
tlonych bram, stanowiących war-  
szawskie wrota do kina. Co tam  
widział na kilkuset scenach, teraz  
już całkiem zapominał, ale ogólny  
wir wrażeń nie przestał kołować  
w jego pracownym umyśle, wy-  
wołując szereg refleksyj u arty-  
sty, buntującego się przeciw o-  
becnemu poziomowi większości fil-  
mów.

Refleksjom tym Goetel dał wy-  
raz w specjalnym artykule, po-  
święconym „Gwieździe Muz” \*),  
zwierając się czytelnikom ze  
swego dość nieuporządkowanego  
stosunku do kina, ze swych wra-  
żeń, doznanych podczas zawo-  
dowej współpracy z t. zw. „bran-  
żą” filmową, z opinii usłyszanej  
od pewnego inteligentnego czło-  
wieka, jakoby film był tylko „or-  
dynarną rozrywką” i ze swych  
nadziej, iż zdanie to nie jest słusz-  
ne, ponieważ potencjonalnie  
tkwiące w tym wynalazku możli-  
wości są tak olbrzymie, że kiedyś  
stać się mogą wielkim triumfem  
sztuki. Kiedy? „Proces ten trwać  
może lata a może i wieki”. Wyma-  
ga bowiem zwycięstwa nad królą-  
jącem obecnie „bezcelnem i za-  
dufanem w sobie geszeftciar-  
stwem”. Szybkość zwycięstwa au-  
tor uzależnia „od uwagi, jaką ze-  
chce mu poświęcić głębiej pojęty  
społeczny sukces i aktywności,  
jaką okażą przedstawiciele sztuki,  
zainteresowani jej nową dzie-  
dziną”.

Właśnie od aktywności, i to  
Pańskiej aktywności również,  
Szanowny Autorze!

Czemże jest bowiem film sam  
w sobie, jak nie środkiem, in-  
strumentem, zapomocą którego  
człowiek porozumieć się może z  
innymi ludźmi, przemawiać do wi-

szów, pokazywać im dowolne o-  
soby lub przedmioty. Od tego czo-  
wieka zależy, co i jak pokazuje.  
Przeprowadzając analogię ze słow-  
wym podaniem, powiemy, że film  
bywa: podręcznikiem, publicysty-  
ką, kroniką aktualnych wydarzeń,  
powieścią, a nawet... poematem.

W piśmiennictwie wiele jest u-  
tworów wartościowych, lecz wię-  
cej bodaj bezwartościowych lub  
nawet wręcz szkodliwych. A prze-  
cie nikt nie kwestjonuje zalicze-  
nia literatury pięknej do dziedzi-  
ny sztuki, co zresztą bynajmniej  
nie znaczy, aby każda książka by-  
ła dziełem artystycznym. Chodzi  
tylko o jaknajwiększą ilość pisa-  
rzych — artystów, zarazem zaś o  
jaknajwiększą ilość interesują-  
cych się literaturą piękną — czy-  
telników.

Goetla pasjonuje oczywiście  
przedewszystkiem zagadnienie fil-  
mu rozrywkowego, stanowiącego  
podstawę programów kinowych  
dla szerokiej publiczności. Odka-  
łując zatem do innej okazyj dys-  
kusję o pozostałych rodzajach  
filmu, ustosunkujemy się do po-  
wzedniego chleba kinowego, do  
artystycznej wartości obecnego  
jego standardu. W sformulowa-  
niu autora „Serca Lodów” pyta-  
nie to brzmi:

„Cóż znaczy wobec tego i cze-  
mu służy ta najmłodsza z muz?  
Co myśleć o niej, i jak ją umie-  
ścić w naszych pojęciach o sztuce  
i twórczości artystycznej?”

Już w tem sformułowaniu  
mieści się słuszne przyznanie  
przez Autora, że t. zw. „Filmja”  
weszła do rodziny muz. Jak ją  
tam umieścić? Stanowczo na pra-  
wach równego, z natury swej ma  
ona bowiem równe, jeśli nie dalej  
idące możliwości artystyczne. Co  
ona znaczy? Znaczy, że dotych-  
czasowe środki wypowiedzania  
się nie wystarczały człowiekowi,  
że szuka on nowych form uzwe-  
ntrznienia swych myśli i przeżyć,  
że wszechstronny instrument zna-

łazi w filmie, który też dzięki te-  
mu zdobył sobie znaczenie i  
wpływ na masy olbrzymi, nie-  
dostatek jeszcze oceniany. Czemu słu-  
ży najmłodsza z muz? Nie wa-  
ham się powiedzieć, że przedew-  
szystkiem rozrywce. Ale nietylko  
rozrywce. Bawiąc, umie ona za-  
razem kształcić zmysł piękną, rza-  
cać ziarno idei, wzbogacać widza  
w wiadomości o innych krajach,  
o innych epokach, o innych psy-  
chikach. Robi to zaś w sposób  
artystyczny, bo nie zapominajcie,  
że piszę o muzie, a więc o tych  
tylko filmach, które w dziedzinie  
sztuki wkraczają. I nie zgo-  
dzę się nigdy z ludźmi, którzy  
pragną negować istnienie fil-  
mów, będących prawdą wem dzie-  
łami sztuki.

Istnieją zagranicą specjalne ki-  
na, których repertuar składa się  
wyłącznie z filmów wybitnie arty-  
stycznych. I mają „pełno!” Ro-  
bią dobre interesy! Tu dochodzi-  
my do drażliwej a istotnej spra-  
wy — stosunku do względów fi-  
nansowo - handlowych. Cały ar-  
tykuł Goetla tchnie duchem wal-  
ki artysty z businessman'em, tak,  
jakby interesy te były nie do u-  
zgodnienia. Otóż ta sprawa wyma-  
ga jednak głębszego zastanowie-  
nia. Przecie obok rekinów finanso-  
wych istnieją niewątpliwie lu-  
dzie, pragnący obracać kapita-  
łem w sposób zyskowny, ale ucz-  
ciwy i korzystny dla ogółu. Ten  
rodzaj kapitału pójdzie na solid-  
ną filmową robotę, jeśli będzie  
miał widok zarobku. Zarobek za-  
leży od tego, czy film będzie miał  
powodzenie, czyli... publiczność!  
A więc kapitalista finansuje o-  
braz taki, jaki jego zdaniem ma  
szanse przyciągnięcia publiczno-  
ści. Wiemy, że dziś gros publiczno-  
ści stanowią sfery mniej wyma-  
gające pod względem artystycz-  
nym, a raczej szukające „ordy-  
narnę rozrywkę”, o jakiej pisze  
Goetel.

Przejrzynmy jednak szeregi t.

\*) „Gazeta Polska” z 9 maja b. r.